

Część IV

Co wyziera spod tej sutanny...? (cz. 1)

Wyłudzacze.

Gdy pierwsze pieniądze, wypłacane co miesiąc przez proboszcza, zaczęły 54 lata temu wpływać do mojej kieszeni, w ślad za nimi zaczęli pojawiać się znający ich wartość, zwłaszcza gdy same przychodzą. Ilu ich było przez te lata, wprost trudno policzyć! Jeżeli mamy się pośmiać, to chyba z mojej naiwności i łatwowierności, bo sama litość dla biednych śmieszna nie jest, nawet gdy śmieszą bajeczki, opowiadane przez rzekomych biedaków.

Po raz pierwszy zawitała do mnie kobieta z dziewczynką kilkunastoletnią, robiąc na mnie dobre wrażenie, i poprosiła o niewielką pożyczkę, podając termin jej zwrotu. Terminu dotrzymała, pieniądze przyniosła, ale poprosiła tym razem o dużą kwotę. Zapisałem jej adres i gdy zwrot nie następował, poszedłem jej szukać. Okazało się, że taki adres nie istnieje!

Taki był start, a teraz, gdy jestem przed metą, mogę tylko im wszystkim przebaczyć i wypraszać Boże Miłosierdzie. Niech tu mi wybaczą ci, którzy spodziewali się licznych pikantnych szczegółów, i niech obejdą się smakiem (a byłoby ich dużo!). Śmieję się sam ze siebie i wciąż uwierzyć nie mogę, że nie wystarczyły mi przykre doświadczenia z jednymi ludźmi, by mnie nauczyć ostrożności i roztropności w podejściu do drugich. Kto chce i może, niech śmieje się z tego razem ze mną, wielkim naiwniakiem!

Zimowy prysznic i mięso.

W jednej z parafii dostałem pokój z kafłowym piecem, ale bez dostępu do łazienki, zastrzeżonej dla proboszcza. Młodość i niezłe krążenie pozwoliły mi na życie bez palenia w piecu i bez łóżka (spałem i siedziałem w kapocie na materacu), a łazienkę zastąpiłem... prysznicem, zrobionym z konewki, zawieszanej na trzepaku do dywanów pod oknem łazienki proboszczowskiej. Szedłem zimą z konewką do pobliskiej studni, napełniałem ją wodą i „morsowałem” bez szwanku dla zdrowia. Po jakimś czasie proboszcz zaproponował mi korzystanie z łazienki, ale zrobił to bez przekonania, więc pewno zadowolony był z mojej odmowy.

Piszę to nie po to by, się „chwalić” podobnymi wyczynami, lecz by przyznać się do tego, że nieco odstawałem od szablonu i pewno żegnano mnie w parafiach z większą satysfakcją niż witano. Na pewno gospodynie – te załamywały ręce: czym ja będę takiego „bezmięsnego” żywić?! Nawet ryb jeść nie chce i zupy na mięsie? Intrygowało to milicję, która w czasie przesłuchania w stanie wojennym zadała mi pytanie, co ma znaczyć to życie bez mięsa... Ostatnio do mięsa wróciłem, więc problem już nie istnieje. Nie utuczyłem się jednak. Teraz moja waga rozczaruje cmentarne mrówki, a za to ucieszy smutnych panów od pogrzebów. Trudno wszystkim na raz dogodzić...

Skoro jesteśmy przy mięsie – sięgnę teraz do wspomnień rodzinnych. Otóż w mojej wsi co jakiś czas sąsiedzi zabijali tucznika i część mięsa z niego przynosili na sprzedaż. Jeden z nich zawinął kawał mięsa w kwiciastą chustę i niosąc je na rękach, zawitał do mojego domu ze słowami: „Mam synka”. Mama była pediatrą, z jej bezinteresownej pomocy co jakiś korzystali miejscowi ludzie, więc widok ciężkiego zawiniątka i słowa sąsiada podziały na nią w sposób dla niej charakterystyczny: nie zastanawiając się nad tym, że facet jest w zbyt podeszłym jak na ojca wieku, poszła do pokoju, rozłożyła na łóżku ceratę, przygotowała wagę do ważenia dzieci i zaprosiła sąsiada: „Proszę z tym synkiem”. Wyobraźcie sobie konsternację na twarzy rzekomego „ojca” i jego odpowiedź: „Pani Doktor, ale ja przyniósł nie synka, tylko synka!” (co miało znaczyć: „szynkę”). Gdy rozwinął na stole zawiniątko – Mama w śmiech, a potem to zdarzenie opowiadała przez lata w środowisku lekarskim.

Wikary przepracowany.

W dużej miejskiej parafii nie było łatwo pogodzić katechizację młodzieży z wizytą duszpasterską zwaną „kolędą”, która trwała całymi tygodniami. Najtrudniej było w blokach, gdy trzeba było chodzić po piętach, zanurzając się w coraz bardziej zużytych powietrzu. Bywałem tym tak wyczerpany, że aż

półprzytomny – wchodząc do mieszkań, bezwładnie opierałem się o futrynę czy o ścianę – aby jeszcze to następne, jeszcze wyżej... I co w tym śmiesznego, zapytacie? Otóż zdarzyło mi się przez otwarte szeroko drzwi, w których stała uśmiechnięta rodzina (był tam ktoś z małym dzieckiem na rękę) wejść prosto do pokoju gościnnego. Zdumiało mnie to, że stół był nakryty białym obrusem, ale zupełnie pusty. Zapytałem, czy są przygotowani, bo nie mają krzyża i wody święconej, a na ich twarzach pojawiło się zaskoczenie i ogromne zdziwienie: „Przecież Ksiądz był tu u nas przed chwilą na modlitwie, wszystko było! To Ksiądz nie pamięta, Ksiądz nas nie poznaje? Przecież to nasza Karioczek kochana, o której imię Ksiądz pytał...!” Tak to było, a chociaż prawie 50 lat minęło, to udziwnione imię Karioka wciąż mi tkwi w pamięci wraz z całą komiczną sytuacją, z której wtedy nie miałem siły ani ochoty się pośmiać.

Wikary roztargniony.

Woźnica czeka (samochodów na wsi jeszcze nie było), trzeba jechać z posługą sakramentalną do odległej o ok. 7 kilometrów wsi. W pośpiechu wyjmuję z tabernakulum Pana Jezusa i zawieszam na szyi tzw. bursę, czyli torebkę służącą do takiej posługi. Jedziemy w obowiązującym milczeniu, u celu podróży spora grupa ludzi z gromnicami w rękę śpiewa pieśni eucharystyczne na powitanie, a podczas spowiedzi chorego za zamkniętymi drzwiami. Nagle te drzwi się otwierają i ukazuje się w nich wikary – właśnie ja – bezradnym gestem rozłożonych rąk podkreślając charakter swojego wyczynu: „Nie wiem jak to się stało, ale Pan Jezus został w kościele i trzeba po Niego jechać!”. Biedny woźnica, biedny koń: mróz, ostry wiatr, a tu trzeba człap-człap w tę samą drogę... Ile czasu jechaliśmy, nie pamiętam, ale trzeba podziwiać pobożność tamtejszych ludzi, którzy po raz drugi przyszli powitać i adorować Pana Jezusa. Nie wiem, czy patrzyli na twarz mało pobożnego, a przy tym roztargnionego i zmarzniętego wikarego, który ze wstydu wtułił uszy w kołnierz i udawał, że strasznie się spieszy...

Proboszcz aktywista.

Wzorując się na starszych i doświadczonych proboszczach trzymałem się zasady, że w parafii stale musi się coś dziać, żeby ludzie chętnie sięgali do kieszeni po pieniądze i uczestniczyli w zaplanowanych pracach. Jednak była to mała wiejska parafijka, więc gdy przychodziło do wyznaczenia i odczytania w niedzielę nazwisk parafian zaproszonych do pomocy, skóra na mnie cierpła. Pod koniec prawie 10-letniego pasterzowania niektórzy parafianie mieli już tego dosyć i po prostu nie przychodzili ani do pomocy w polu, ani do pracy przy kościele, a na zastępstwo nikogo nie szukali. Nie było jeszcze wtedy telefonów, by do nich dotrzeć i czegoś się dowiedzieć, więc siedzieli cicho, zadowoleni z tego stanu rzeczy.

Pewnego razu wsiadłem na rower i ruszyłem na przejażdżkę po parafii, mając zamiar „tak sobie na luzie” z ludźmi porozmawiać, choćby tylko o pogodzie. Dotychczas, jeśli gdzieś mnie widziano, to wyłącznie w ramach „łapanki” do pracy, więc i tym razem podobnie mnie postrzegano: ludzie chowali się, bali się podejść bliżej, a gdy nagle zaskoczyłem ich w domu, bez ogródek mnie zapytali: „Proboszczu, znowu jakaś praca...? W czym trzeba pomóc?”. Nie mogli uwierzyć w to, że tym razem niczego nie potrzebuję ani nie oczekuję od nich. Pewno po cichu myśleli: co mu się stało? Coś mu odbiło? A może się nudzi i nie wie, co robić z czasem? Nie pamiętam, czy jeszcze później w podobnym charakterze pojawiałem się w wioskach, chociaż – muszę to przyznać – było to od początku moim marzeniem i widziałem siebie wśród nich „tak na luzie” jak najczęściej. A więc była to szansa na zawsze zmarnowana.

Oborę i chlew przerobić na teatr...

Miałem dobrą i wierną radę parafialną damsko męską i zawsze mogłem na nią liczyć. Gdy już coś z nimi zostało omówione i ustalone, imponowało mi „demokratyczne” ogłoszenie w kościele: „Z radą parafialną postanowiliśmy to i owo...” Zawdzięczam jej także to, że wyhamowywała niektóre moje pomysły i inicjatywy, a nawet gasiła je w zalążku. Spotkało to m.in. ideę zapraszania do parafii grupy

teatralnej z przedstawieniami. Mając to w planie, upatrzyłem sobie na to idealne, jak mi się wydawało, i dokładnie przeze mnie wymierzone pomieszczenie, wymagające remontu. Był to chlewik i sąsiadująca z nim przez ścianę (tę trzeba by było wyburzyć) oborę, od dawna nie używane. Z tryumfem, przekonany o wspaniałości swojego projektu, zaprowadziłem tam moją radę, która – myślałem – oniemiała z zachwytu, gdyż w milczeniu tylko spoglądali na siebie. Potem, przy stole, pokręcili głowami i rzekli: Proboszczu, może i dobry ten pomysł, ale my już dość starzy, młodzieży mało, kto tu przyjdzie na takie sztuki...? A poza tym Proboszcz się na sprawach wiejskich raczej nie zna, więc i niczego nie hoduje, a przy tym mięsa nie je, ale przecież w końcu odejdzie, a jego następcę...? Gdyby był ze wsi i chciał tu hodować świnie, to jak miałby to robić w teatrze...? Trzeba by było przerabiać teatr na chlew! Musiałem przyznać im rację...

Jesteśmy za, a nawet przeciw!

Sklep spożywczy nieopodal kościoła, niestety otwierany i w niedziele, przyciągał nie tylko moich parafian, ale i dalszych, szukających w nim piwa, jak oserek szuka piersi matki. Piecyk w sklepie pozwalał zimą na podgrzewanie tego eliksiru, co czyniło go jeszcze bardziej atrakcyjnym. Jego amatorzy stawali się nałogowcami, ku przerażeniu rodzin podnoszących alarm.

Musiałem coś z tym zrobić, więc wykorzystałem do tego celu „kolędę” w domach parafian. Używałem najmocniejszych argumentów różnej natury – był w nich i Bóg, i diabeł – a po zmiękczeniu (jak mi się wydawało) twardych skał prosiłem mężczyzn o podpisanie się na liście żądających wycofania piwa ze sklepu. Większość to zrobiła, więc po zamknięciu listy napisałem podanie do urzędu gminy i dołączyłem do niego podpisy. Czekaliśmy na reakcję urzędu.

W niedzielę wieczorem moje chłopcy zasiadły w szkole w ławkach (długich, nie szkolnych), a siedzący za zielonym stolikiem urzędnik odczytał moje podanie. Z lubością słuchały go moje uszy, a duch przymierzał się już do zwycięstwa. Wtedy okazało się, że to nie jakiś zwykły gryziopiórek (tak się mówiło dawniej, teraz długopisów nikt z dorosłych nie gryzie), tylko niezły spryciarz! Zrobił posunięcie, które mnie tak zaskoczyło, że nie zdobyłem się na protest, chociaż podejrzewałem, do czego on zmierza. Na jego komendę miało się teraz odbyć głosowanie, weryfikujące prawdziwość podpisów, a polegające na tym, że opowiadający się za wycofaniem piwa ze sklepu mieli stanąć pod ścianą (a więc – uwaga! – wykazać się aktywnością, i to na oczach wszystkich), a pozostali mieli pozostać w ławkach... Chyba nie trzeba pisać, że moje chłopcy pospuszczały głowy, niektórzy wtulili je nawet w kołnierz, i ani drgnęli, a pod ścianą... musiałem stanąć ja! Na szczęście za chwilę najwierniejszy członek rady parafialnej stanął przy mnie ramię w ramię. W ten sposób, stawiając mnie pod ścianą, parafianie rozstrzelali swojego proboszcza: „Jestem przeciwko, a nawet za”. „Przeciwko” – mówił ich podpis, a „za” – ich dwie litery, mocno przyklejone do szkolnej ławy...

Biskupie, daj nam normalnego proboszcza!

Tak rzeczywiście było: delegacja udała się do biskupa „w mojej sprawie”. A oto jak do tego doszło. Z okazji głównej w parafii uroczystości odpustowej strażacy w jednej z wsi co roku urządzali w swoim budynku zabawę, suto zakrapianą alkoholem. Próbowałem ich od tego odwozić (sierpień ma być bez alkoholu) i raz się to udało, więc miałem nadzieję, że problem został rozwiązany. W roku następnym 15 sierpnia piękny wieniec dożynkowy przyniosła ta wieś do kościoła, a ja spokojnie pojechałem do rodzinnego domu. Gdy wróciłem wieczorem, łupnęła we mnie wieść: zabawa w K.! Jeśli zabawa, to wiadomo jaka, bo ludzie bez alkoholu bawić by się tam nie umieli. Z oburzeniem owinąłem więc ich wieniec czarną szarfą, razem z klerykiem, moim przyjacielem, zawieźliśmy go na dachu samochodu i wnieśliśmy w milczeniu na podwyższenie dla orkiestry. Niestety podziałało to na tych rozbawionych ludzi w kierunku innym niż się spodziewałem: wieniec wynieśli do garażu, bawili się dalej, a potem zmontowali delegację, która domagała się od biskupa usunięcia mnie z parafii i przysłania im „normalnego” proboszcza...